Sławomir Zatwardnicki: Gwałt na teologii

Antoni Słonimski z właściwym sobie humorem zauważył kiedyś, że najtrudniejszą dla odbiorcy formą zdobywania wiedzy i obcowania z cudzą myślą są naukowe odczyty

Antoni Słonimski z właściwym sobie humorem zauważył kiedyś, że najtrudniejszą dla odbiorcy formą zdobywania wiedzy i obcowania z cudzą myślą są naukowe odczyty

Antoni Słonimski z właściwym sobie humorem zauważył kiedyś, że najtrudniejszą dla odbiorcy formą zdobywania wiedzy i obcowania z cudzą myślą są naukowe odczyty. „Muszę się przyznać – pisał felietonista – że uwaga moja nie wytrzymuje próby dłuższej prelekcji i wrażenia wzrokowe stają się konkurencją nie do zwalczenia”, tak że nawet „najobskurniejszy fryz na ścianie staje się rajskim widokiem”. Przy czym według autora *Gwałtu na Melpomenie* „odczyt staje się zabawniejszy, gdy wykład ilustrowany jest przezroczami lub gdy na katedrze stoi wypchana sowa”.

Jako uczestnik bierny i czynny sympozjów naukawych i naukowych sowy jeszcze nie widziałem ni żywej ni wypchanej, ale „wykłady ilustrowane” owszem; nie tyle może profesorowie i inne hab-capy, jak mawiał jeden z profesorów, uzabawniają słuchaczowi słuchanie, ile sam słuchacz zabawia się podglądaniem Internetu, pod pretekstem notowania cennych refleksji poddając się wrażeniom wzrokowym, tej „konkurencji nie do zwalczenia”. Ja sam staram się, w ramach ćwiczeń ascetycznych, wytrwać na stanowisku słuchacza mimo wszystko do końca, do ostatniej kropki.

Opłaca się zwłaszcza wtedy, gdy teologiczno-scjentystyczne wywody zostają zakończone przypomnieniem stanowiska wyrażonego przez Sobór Laterański IV: „gdy wskazujemy na podobieństwo między Stwórcą i stworzeniem, to zawsze niepodobieństwo między nimi jest jeszcze większe”, dlatego „mówiąc o Bogu, nie możemy określić, kim On jest, ale wyłącznie kim nie jest i jakie miejsce zajmują inne byty w stosunku do niego”. Zabawny jest ten wyrzut sumienia, który zmusza, by do Boskiego kapelusza, którego nieskończone gabaryty redukowało się ze trzy kwadranse, wrzucić na koniec grosik żywej czy spreparowanej pokory.

Taka kropka nad i, czy raczej „wypchana sowa” na zakończenie, które byłoby dobrym punktem wyjścia. Bo to dopiero nad „i” tajemnicy trzeba by postawić „ptaszka” racjonalnego uporządkowania tego, co objawione. Teologia jako „wiedza wiary” w świecie postawionym na głowie poucza wiarę, zamiast dać się jej pouczać; chce posiąść Boga, zamiast dać się posiąść Jemu. Zamiast inkulturacji wiary – której jednym z wymiarów w świecie ceniącym naukę miała być właśnie uprawiana w sposób naukowy teologia – dokonał się proces odwrotny: wykorzenienie wiary, gwałt dokonany przez rozum naukowy na wierze.

W tych wiecznie (czytaj: w czasie) dających o sobie znać ciągotkach do skrajnych rozwiązań – od wiary do rozumu, od teologii apofatycznej do katafatycznej – ujawnia się nie co innego, jak ograniczenie rozumu. W głowie się nie mieści, że miałaby być taka mała, a przecież wystarczyłoby głowie przyglądnąć się, jak radził św. Maksymilian Kolbe, kapeluszowi, w którym bez problemu się mieści. Ze wszystkimi

problemami, których nie jest w stanie rozwiązać inaczej niż przez wiarę. Wiara bowiem podpowiada rozumowi, że teologia powinna przybrać kształt zarówno apofatyczny jak i katafatyczny.

Przy czym, co może ucieszy rozum, teologia negatywna nie jest w żadnym razie negacją teologii pozytywnej. Liczy się i to, i tamto; „i" z kropką, a nigdy bez niej, kropka zawsze z „i"; sowa żywa zamiast wypchanej. Z faktu, że Bóg przemówił przez Syna, wynika możliwość uprawiania teologii afirmatywnej, która ma tyle do powiedzenia, ile usłyszy w wypowiedzianym Słowie. Przy czym Bóg mówi, zdaje się bardziej niż niejeden współczesny teolog z tytułami, „po ludzku". Poznajemy Boga w kenozie, słyszymy słowo, które wyrzekło się „Boskiej gramatyki", uczymy się od Rabbiego bez teologicznego dyplomu.

Kenosis dokonany w tym celu, aby pouczyć o zasadzie akcji-reakcji rozumianej po chrześcijańsku. Nie „oko za oko, ząb za ząb", ale *ekstasis* Boga stającego się człowiekiem za *ekstasis* człowieka stającego się „jak Bóg". Tajemnica *theosis*, udział w naturze Boskiej (2 P 1,4), a zatem również poznanie Boga tak, jak On nas poznał; bo na razie poznajemy „przez wiarę" i niejasno, oglądając Boga w ludzkim odbitego zwierciadle (por. 1Kor 13,10-13). A zatem *theo-logia* nie może rozdzielać *via afirmativa* od *via negativa*. Nie 80 czy 90, ale 100 % cukru w cukrze, a zarazem 100 % nieadekwatności; prawda „i" nadprawda.

Poszukiwany, poszukiwana, teolog lub teolożka, zdolny-zdolna dokonać syntezy katafatyczno-apofatycznej teologii bez mieszania wymiarów pozytywnego i negatywnego, które zawsze kończy się pomniejszeniem jednego i drugiego. Nie może to być łyżka negatywnego dziegciu w beczce pozytywno-teologicznego wykładu, rzecz też pewnie nie w tym, żeby odczyt wygłaszać na kolanach, choć to akurat byłaby dobra ilustracja związku wiedzy z wiarą. Teologia winna być przecież „zasadniczo doksologiczna, charakteryzująca się uwielbieniem i dziękczynieniem", jej „najbardziej odpowiednią metodą są chwała i uwielbienie" (Międzynarodowa Komisja Teologiczna).

Czy w takim razie teolog przemawiający zza katedry, który nie wzbudza w słuchaczu „teologicznej ekstazy", dokonuje gwałtu na teologii?